

ŚWIATOPOGLĄD, WIARA I ATEIZM

Z PROFESOREM WŁODZIEMIERZEM PAWLUCZUKIEM

ROZMAWIAŁA ZUZANNA SZCZERBANOWSKA

Czym się Pan Profesor obecnie zajmuje?

Zawsze nad czymś pracuję, ale obecnie moim głównym zadaniem jest uporządkowanie warsztatu i rzeczy, które są rozproszone. Pracuję więc nad poskładaniem swoich tekstów publikowanych i niepublikowanych w pewne cykle. Jeden cykl to – powiedzmy – przemyślenia na temat związków procesów cywilizacyjnych z dziejami cywilizacji, temat drugiego sformułowałem jako „światopogląd a sposób bycia”.

Nadal, koronny temat!

Tak! Ciągle jeszcze nie rozstrzygnięty do końca, więc w dalszym ciągu próbuję go drążyć. Zajmowałem się ostatnio jego podtematem – problemem wiary, a właściwie pojęciem wiary, czyli czym jest wiara i czym różni się ona od światopoglądu.

Czy wiara nie jest składową światopoglądu? Jeśli się nie mylę, taki wniosek można wysnuć z Pana wcześniejszych publikacji.

Można to tak rozumieć, ale w korpus faktów psychicznych określanych mianem „światopoglądu” włącza się także ateizm, jako jeden z jego

typów. Ateiści zaś w sposób kategoryczny, wręcz z irytacją, zaprzeczają, że częścią ich światopoglądu jest wiara. Profesor Jan Woleński kategorycznie stwierdził podczas dysputy na Kongresie Filozofów: „Jestem niewierzący, więc jaka tu wiara?!”. Światopoglądem można więc nazwać każdą postawę człowieka wobec nieskończoności, wobec świata, śmierci i cierpienia. Natomiast ze względów socjologiczno-historycznych warto rozróżnić trzy kondycje. Kondycja pierwotna, która występuje w wierzeniach pierwotnych i ludowych, to egzystencja w micie, gdzie nie ma jeszcze rozróżnienia między religią i niereligią, naturą i tym, co nadnaturalne. Tam, gdzie kończy się mit, wyłaniają się dwie konieczne struktury. Jedna to wiara, druga to światopogląd. Tu musimy już sprecyzować, czym cechuje się wiara. Moja opinia na ten temat jest taka, że wiara charakteryzuje się tym, iż jest pewnością i jest dana w egzystencjalnym doświadczeniu jednostki. Definicja fenomenologii mówi o bezpośrednio danej naoczności. Nauka nie daje bezpośredniej naoczności, ale działa poprzez aparaturę. Nie oglądamy przecież wirusów ot, tak sobie. Niektórzy, ci, którzy posiadają odpowiednią aparaturę, mogą je oglądać. Z kolei naoczność w postaci sacrum, jeśli jest dana, to jest dana bez żadnej aparatury – w doświadczeniu mistycznym. Jednak doświadczenia mistyczne dzisiaj, doświadczenia różnych cudów, które pojawiają się praktycznie co roku w różnych miejscach, są w dużym stopniu protestem przeciwko doktrynie, są buntem przeciwko wierze typu kościelnego, są potrzebą naoczności.

Czy w takim razie „wiara w naukę” nie jest wiarą? Na przykład: w szkole nam powiedzieli, że żarówka świeci, bo prąd płynie, ale przecież go nie widzieliśmy.

Nie chodzi tu o wiarę, ponieważ takie twierdzenie jest do sfalsyfikowania. Można twierdzić, że żarówka świeci, ale raptem przestaje i cała teoria, że zawsze świeci, upada.

Jednak niektórzy twierdzą, że widzą Matkę Boską na szybie, a inni, że jej nie widzą.

Jeśli się im nie pojawia, to może dlatego, że tacy ludzie są niedowiarkami, może są poza wiarą? Nurzają się w światopoglądzie, zaczynają rozważać, dlaczego niektórym to jest dane jako pewność, a im dane nie jest i nie

widzą. Nawet ksiądz, przy jakimś głośnym cudzie w Radominie, orzekł – co oburzyło wszystkich wierzących w cud pielgrzymów – „e, to jakieś plamy!”. Księża, jak wiadomo, są sceptyczni wobec cudów, i słusznie, ponieważ wiara w cuda to myślenie antykościelne, wiara ludowa. Potoczne pytanie: „Czy jesteś wierzący?” dotyczy już wiary w Kościół. Koncepcja ta pojawia się już na pierwszym Soborze Nicejskim, w formule chrztu, wiary, którą trzeba było wygłosić, i która do dziś przecież obowiązuje: „Wierzę w jeden, święty, powszechny i apostołski Kościół”. Chrzest jest rodzajem umowy, której częścią jest wyznanie wiary w Kościół. I nie bez powodu był to zawsze główny element wiary, bycia chrześcijaninem.

Między wiarą a światopoglądem jest różnica autorytetów. W przypadku wiary jest nim świadek. Mogę to być ja sam, albo mój sąsiad (na przykład „był tam u nas taki jeden, co nad rzeką widział, jak ogień buchnął...” i tak dalej). Autorytetem światopoglądu jest natomiast ekspert, który się zna na cyklotronach, teleskopach czy silnikach, albo może stwierdzić, czy znaleziona ciecz jest krwią Chrystusa, czy tylko jakąś mazią.

Jakiś czas temu miał miejsce tego typu przypadek. W 2008 roku w kościele św. Antoniego w Sokółce ksiądz upuścił hostię, którą – zgodnie z procedurą liturgiczną – włożono do specjalnego naczynia z wodą. Po tygodniu w naczyniu znaleziono czerwoną plamę przypominającą krew. Powołano w tym celu komisję kościelną, żeby orzekła, czy to był tak zwany cud eucharystyczny.

Mała dygresja: wybitni teologowie twierdzą, że cud był jeden: Wcielenie. Przy okazji powyższego przypadku czytałem w gazetach wypowiedzi teologów: „Jaki tam cud?”, „A czym jest cud?”, pytano. Teolog, ksiądz prof. Alfons Skowronek, powiedział w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”: „To kolejny błąd w logicznym myśleniu. Jak to jest, najpierw Bóg stworzył prawa natury, a potem tenże te prawa łamie? Włożyłbym to między bajki. Czy Bóg uciekałby się do takich sztuczek? Wiara nie jest oparta na cudach”¹. Polskie Towarzystwo Racjonalistów uznało z kolei, że jeśli rzeczywiście była tam krew czy tkanka mięśnia sercowego, to

¹ *Cuda i cudactwa*. Z ks. Alfonsem Skowronkiem rozmawiali Katarzyna Wiśniewska i Jan Turnau, „Gazeta Wyborcza” 14.11.2009.

znaczy, że dokonano przestępstwa, może profanacji zwłok. Dlatego skierowało wnioski do prokuratury. Eksperti mieli zbadać, czyja to w rzeczywistości była krew. Racjonalisci podeszli do sprawy z całą stanowczością, zgodnie ze swoim porządkiem myślenia. Taka jest właśnie różnica między autorytetem, ekspertem a świadkiem.

U źródła Kościoła chrześcijańskiego, zwanego apostoelskim, była nauka Apostołów. W tekstach kanonicznych w wielu miejscach czytamy, jak Jezus mówi, że nie minie to pokolenie, a ujrzą go po prawicy Ojca. Rzecz w tym, że była to w pewnym sensie katastrofa – katastrofa wiary. Przyszedł przecież czas, że wszyscy Apostołowie i świadkowie pomarli, a Chrystus nie przyszedł. Chrześcijaństwo zostało sfalsyfikowane, zgodnie z zasadą światopoglądu właśnie. Jeśli coś się nie sprawdziło, to znaczy, że jest nieprawdziwe.

Jednak w wierze to chyba działa inaczej. Na przykład ruchy milenarystyczne, nawet jeśli wyznaczały datę końca świata i do niego nie dochodziło, nie przestawały istnieć z powodu niewypełnienia się proroctwa.

Właśnie! Nie przestawały istnieć. Pytała Pani, jaka jest różnica między wiarą a światopoglądem, i to jest właśnie to. Świadkowie pomarli, Chrystus z jakichś powodów nie wrócił. Co było robić? Uznano, że świadkiem jest Kościół. To on przejął tę rolę i tak jest po dzień dzisiejszy. Dlatego pytanie: „Czy jesteś wierzący?” w praktyce oznacza wiarę w Kościół. Jednak po rozpadzie tej świadomości mitycznej pojawiła się pewna alternatywa: wybór między wiarą w Kościół a naocznością. Kiedy stwierdzimy, że podczas komunii nie było wina, tylko autentyczna krew, wówczas rzecznik światopoglądu zażąda ekspertyzy – wyjaśnienia, jak do tego doszło.

To jest zasadnicza różnica. Mamy różnorakie światopoglądy. W swoich funkcjach socjologicznych, egzystencjalnych, są one konkurencyjne wobec wiary. Mówiąc o wierze, mam na myśli wiarę chrześcijańską, bo możemy też mówić, że istnieje wiara w pieniądź, wiara w miłość... Oczywiście nie ma ludzi bez wiary. Ci, którzy stracili wiarę, albo już popełnili samobójstwo, albo popełnią je jutro. Ale jest to zupełnie inna kategoria

semantyczna wiary – wiary jako postawy ludzkiej ufności w sens tego, co się robi. To jest coś zupełnie innego niż wiara, która jest określona poprzez autoidentyfikację. W takim przypadku pyta się o to, czy się wierzy w Kościół, czy się jest chrześcijaninem, czy też buddystą. Trzeba się jakoś określić. Nie można powiedzieć, że wierzy się w pieniądź, w swój własny sens. Światopogląd jest jednak konkurencyjny, gdyż może tworzyć legitymizację władzy, polityki. Staje się elementem grupy ludzkiej, społeczności. Może być konkurencyjny w sensie egzystencjalnym, bo potrafi nadawać sens życiu i śmierci. Jako przykład wystarczy podać nacjonalizm, bohaterstwo w imię hasła, w imię ojczyzny, czy też jakichś ostro zakreślanych idei. Z powodu pełnienia przez światopogląd funkcji egzystencjalnej pojawia się problem konkurencyjności pomiędzy nim a wiarą i właśnie to próbowałem tu przedstawić.

A czy problem falsyfikowalności, a raczej nefalsyfikowalności istnienia lub nieistnienia Boga zakłada, że ateizm też jest swoistym rodzajem wiary? Wszystko inne można przecież sfalsyfikować, choćby ten przypadek z Sokółki. Ale istnienia Boga nie można udowodnić. Ateista, który jest na przeciwnym biegunie w stosunku do wierzącego, opiera swoje przekonania na twierdzeniu, którego nie może zweryfikować.

Pytanie jest istotne, a sprawa oczywista – to akt wiary. Tu powstaje beznadziejna sytuacja, bo równie beznadziejna jest próba udowodnienia istnienia, jak i nieistnienia Boga. Na przykład, mam książeczkę pod tytułem *Sto dowodów na istnienie Boga*, a Leszek Kołakowski mówił kiedyś, że dla niego nawet pięć dowodów św. Tomasza z Akwinu to za dużo. Gdyby to było takie pewne, wystarczyłby jeden! Istnieją również dowody na nieistnienie Boga. I to również jest absurdalne, skoro odnosi się do rzeczywistości nefalsyfikowalnej, jaką jest Bóg. W teologii apofatycznej Pseudo-Dionizego Areopagity jest cała strona o tym, czym Bóg nie jest.

Podobnie jest w innych tradycjach. Na przykład hinduskie *neti neti* – dochodzenie do istoty bóstwa przez zaprzeczanie tego, czym ono jest.

W chińskim rozumieniu Boga pojawia się kwestia Tao. Wszystko jest Tao, we wszystkim jest Tao, tyle że samo Tao nie istnieje. Podobny charakter ma hinduski Brahman. W starożytności niezależnie od siebie

istniały nurty, które określamy mianem gnostyckich. W tych nurtach Absolut jest czymś pierwszym, co było przed światem, co jest źródłem świata, czystym podmiotem, który się sam uprzedmiotowił. Marta Kudelska w swojej pracy, którą ostatnio czytałem, *Dlaczego istnieje raczej Ja niż To* [Kraków 2009 – uwaga red.], przytacza zaskakujące sanskryckie opisy dotyczące powstania świata. Brahman uświadomił sobie, że istnieje, i powiedział: „Ja istnieje”. Uprzedmiotowił siebie istniejącego, pozostając nadal jako ten, który mówił, jako podmiot. I w ten sposób powstał byt przedmiotowy, czyli świat. Ten wątek jest bliski Ewangelii św. Jana („Na początku było Słowo”). Podobne wątki pojawiają się też w tekstach z Nag Hammadi. I ta zbieżność jest zaskakująca. Natomiast zupełnie inny nurt prezentują religie księgi – judaizm, chrześcijaństwo i islam. Mówią one o Bogu, który istnieje na pewno i stwarza świat z własnej woli. Natomiast w nurtach gnostyckich kreacja, stworzenie świata, wynikało z pewnego wewnętrznego napięcia podmiotu, który istniał przed stworzeniem świata. Zatem ewolucja tego podmiotu była konieczna.

Czy w takim razie możemy mówić o wielu wiarach? Czy to, co niedawno obserwowaliśmy w związku z krzyżem stojącym przed Pałacem Prezydenckim w Warszawie, też jest buntem przeciwko doktrynalności?

Tak, to jest wiara, która potrzebuje doznań sensorycznych. Potrzebuje doświadczyć, że coś jest, że działa, a nie odwoływać się do tego, co odległe, doktrynalne, kościelne. Owo „coś więcej” zawsze było potrzebne.

Wydaje mi się, że w tym przypadku do głosu doszła także potrzeba uczestniczenia w czymś ważnym. Kościół wielu ludziom tego nie zapewnia. Brakuje poczucia, że to „my” coś robimy. Tutaj natomiast to właśnie „my” bronimy krzyża, „my” obcujemy z sacrum, „my” widzieliśmy cud w Sokółce. Jaka potrzeba ludzka tu działa? Co tu jest rudymentalne? Co to za mechanizm?

Potrzeba bycia ważnym łączy się tutaj z potrzebą dotknięcia sacrum. Wiara przez całe swoje dzieje napotyka potrzebę doznania tej świętości i to w sensie zmysłowym, a nie dogmatyczno-teoretycznym. Jeśli się wierzy w Kościół, to trzeba wierzyć. Interesowało mnie, co księża

będą mówić w takich przypadkach, jak ten pod Białymstokiem, gdzie maturzyści zginęli jadąc autokarem na pielgrzymkę do Częstochowy. Pojawiła się potrzeba wytłumaczenia tego wydarzenia. Księża mówili, że poprzez to, co się stało, ci młodzi ludzie „mają zasługę”, że zostali wyróżnieni, że trafili do Raju. Czy rodziców to przekonało? Nie wiem. Inni znowu mówili, że to nie wina Boga, ale ludzkich błędów, że Bóg nic nie mógł zrobić, bo kierowca zasnął. Ale czy Bóg wszechmogący, przy całej swojej wszechmocy, nie mógł go obudzić? To przecież niweczy wiarę we wszechmoc!

Co pod krzyżem robili ateści? Dotąd nie wydawali się być aż tak skonsolidowani. Czy mamy tutaj do czynienia z jakimś nowym zjawiskiem?

Sądzę, że to jest zjawisko „młodzieżowe”. Młodzież różnej orientacji, młodzież artystyczna, ma poglądy oparte na zasadzie niezgody na wszelki porządek, na to, jak jest w Polsce.

A co z ruchem społecznym ateistów?

Użyję tutaj banalnego stwierdzenia, że żyjemy w społeczeństwie politycznym i to w społeczeństwie demokratycznym, w którym politykę określają partie polityczne. A partie z kolei potrzebują legitymizacji. Ilość głosów to jeszcze nie wszystko. Poparcie zależy także od tego, jak klarownie przedstawi się legitymizację metafizyczną. W Polsce najprostsza jest legitymizacja kościelna.

Jeśli chodzi o konkretne postaci, to dla mnie największym polskim ateistą działającym za mego życia był profesor Andrzej Nowicki², który całe swoje życie poświęcił walce o „prawdę” wielkich proroków ateizmu. Jego misją było stworzenie ateistycznej wiary. W związku z tym stworzył nawet specjalną dyscyplinę filozoficzną, którą nazwał inkontrolologią. Chodziło o poszukiwanie nieśmiertelności ateistycznej – w społecznej pamięci, zakorzenieniu, w rzeczach stworzonych itd.

² Andrzej Nowicki (ur. 1919) – filozof, religioznawca, italianista. Założyciel pisma „Euhemer” oraz współtwórca Polskiego Towarzystwa Religioznawczego oraz Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli. Członek Towarzystwa Filozoficznego, Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej i Polskiego Stowarzyszenia Racjonalistów. Związany z wolnomularstwem. Pełnił funkcję Wielkiego Mistrza Wielkiego Wschodu Polski, obecnie jest Honorowym Wielkim Mistrzem.

Ateiści uważają, że Boga nie ma, ale poprzez taką postawę nie uchyla się problematyki, z którą każdy musi się zmierzyć: dlaczego istnieje to, co istnieje?

Czy musi istnieć jakiś powód? Ateista powie, że nie ma żadnego.

Nie ma żadnego powodu? To po co świat istnieje? Przecież prościej byłoby, gdyby nie było nic. Istnienie jest jakimś wysiłkiem. Jeśli kiedyś coś nie istniało, to istnienie jest nielogiczne. Chyba że zawsze istniało, ale to obalił już Kant. Gdyby ten świat był wieczny, to byśmy się nie spotkali, bo wieczność ma nieskończoną ilość chwil, a zatem nieskończoność nie przebrnęłaby do dnia dzisiejszego. Ta sprawa jest nierozstrzygnięta i nic tu nie wnoszą najnowsze odkrycia naukowe. Zgodnie z nimi świat powstał w wyniku Wielkiego Wybuchu około 15 miliardów lat temu. Fizycy opisują szczegółowo, co się działo po Wielkim Wybuchu w pierwszych milionowych nawet częściach sekundy, na podstawie znanych nam praw fizyki kwantowej. Powstaje jednak idiotyczne pytanie: czy istniał już wówczas jakiś „podręcznik” praw fizyki kwantowej? Mówiąc poważnie, czy istniały już jakieś prawa fizyczne, zgodnie z którymi następowały po sobie zdarzenia, w wyniku których powstał świat taki, jaki jest? Bo inaczej jak cokolwiek mogłoby zaistnieć? Weźmy pod uwagę ciężenia grawitacyjne. Gdyby były one o jedną tysięczną silniejsze, nic by nie powstało, od razu wszystko by się znowu skurczyło. Gdyby były luźniejsze, to nie powstałyby planety, bo mgławice by się rozproszyły. Ten „podręcznik” był więc jakoś „napisany”, i to bardzo precyzyjnie!

À propos pytań, których się nie uniknie. W serii Plus/Minus Nieskończoność wydawnictwa PIW opublikowano książeczkę *Czy przed Wielkim Wybuchem był Bóg* [pod red. T.D. Wabbela, Warszawa 2007 – uwaga red.]. Tytuł jest raczej handlowy. Próbuje się przekształcić biblijną ideę Boga, który stworzył świat, w subtelniejszą ideę inteligentnego projektu – skoro istniał „podręcznik” fizyki, Bóg mógł nie istnieć. Tu pojawia się problem sięgający daleko w przeszłość. Dzisiejsze rewelacje z obszaru fizyki kwantowej i teorii kosmosu pojawiają się w wątkach platońskich i hinduskich, w kwestii tej pierwotnej podmiotowości, która

była całkowicie nieprzedmiotowa i nic poza nią nie istniało. Ten podmiot był po części fizykiem, istniał, pomimo że Boga nie było.

W dyskusji o ateizmie pojawia się jeszcze jeden problem. Mur pomiędzy religią a nauką pojawił się między innymi dzięki św. Tomaszowi z Akwinu. Sformułował on dowód z ruchu na istnienie Boga. Twierdził, że skoro każdy ruch jest powodowany przez inny ruch, a ten przez jeszcze inny ruch, zatem gdzieś na początku tego łańcucha musiał być Pierwszy Poruszyciel. Można z tego wysnuć wniosek, że Bóg wprowadził świat w ruch i od tej pory już drzemie, bo ustalił prawa natury. Należało więc oddzielić boską transcendencję od praw natury, dzięki czemu mógł powstać światopogląd mechanicystyczny, ateistyczny. Rzecz w tym, że XX wiek zlikwidował ten podział, tworząc kolejne teorie w fizyce. Przede wszystkim Albert Einstein zburzył pojęcia przestrzeni i czasu, bez których fizyka Newtona jest nieaktualna. Potem pojawiła się fizyka kwantowa i ukazały się bardzo dziwne książki Frithjofa Capry [śmiech]. W związku z tym definicja ateizmu w zasadzie sprowadza się do tego, że ateści są niezgodni z „kościelnością”.

Jakie jest obecnie główne zadanie religioznawstwa? Jakie widzi Pan przed nim ścieżki i kierunki?

Kiedyś w Instytucie Religioznawstwa przedstawiłem swoją wizję religioznawstwa. Stwierdziłem, że religioznawstwo (to było dawno i nie wiem, czy teraz trzymałbym się tego) powinno być próbą stworzenia swoistego projektu obrazu świata, w wyniku której – poprzez poznanie wszystkich dających się poznać empirycznie nurtów myśli ludzkiej – zostałby znaleziony wspólny element, który przedstawiałby właśnie poza-konfesyjny obraz rzeczywistości i wynikające stąd konsekwencje światopoglądowe. Spotkało się to z dużym protestem i zarzutem, że próbuję zrobić z religioznawstwa jakąś sektę. Chociaż to, co powiedziałem, to nic specjalnie nowego. Wszyscy wielcy religioznawcy: Rudolf Otto, Gerardus van der Leeuw, a przede wszystkim Mircea Eliade, właśnie to czynili. Skutek tych czynności wcale nie jest banalny. Wystarczy przyjrzeć się postaci Jana Pawła II, jego pielgrzymowaniu po świecie, spotkaniom z ludźmi różnych wyznań i światopoglądów. Nie wiem, czy Jan Paweł II czytał

Eliadego, ale jestem przekonany, że bez Eliadego te idee byłyby niemożliwe. Bo to właśnie religioznawcy stworzyli fundament pod tak rozumiany ekumenizm, również w chrześcijaństwie. Czy mam powiedzieć, że takie powinno być religioznawstwo? Nie, to by była przesada ideologiczna. Na pewno religioznawstwo powinno być nauką.

Na koniec chciałabym zapytać, co by Pan powiedział młodym religioznawcom?

Dwie rzeczy. Po pierwsze: aby zapoznali się – w miarę możliwości solidnie – z tym, co powiedzieli na temat religii wielcy religioznawcy. A po drugie, aby poszukali odpowiedzi na pytanie: jaki to wszystko ma sens dla mnie? I religioznawstwo, i świat. Jakoś trudno mi wyobrazić sobie religioznawcę, który byłby tylko rzemieślnikiem, choć można i tak. Ponoć na temat kompozycji muzycznych równie dobrze może się wypowiadać głuchy, obserwując układy nut i je oceniając. W moim odczuciu porządny religioznawca powinien więc mieć „słuch”, a przynajmniej kształcić go, i tworzyć własny obraz sensu świata.

Prof. dr hab. Włodzimierz Pawluczuk (ur. 1934) – socjolog, religioznawca, antropolog, filozof, pisarz i publicysta. Autor wielu znaczących prac naukowych, takich jak: *Światopogląd jednostki w warunkach rozpadu społeczności tradycyjnej* (1972), *Żywioł i forma. Wstęp do badań empirycznych nad kulturą współczesną* (1978), *Potoczność i transcendencja* (1994), *Ukraina – polityka i mistyka* (1998). Związany z Instytutem Religioznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego praktycznie od początku jego istnienia. W latach 1984–1986 wicedyrektor, a w latach 1986–1993 dyrektor Instytutu. Od 1997 profesor Uniwersytetu w Białymstoku. Największy rozgłos zdobyła jego książka publicystyczna *Wierszalin. Reportaż o końcu świata* (1974). Stała się inspiracją dla wielu inscenizacji teatralnych i filmu fabularnego.